

GDY PRAWO NIE CHRONI...

Liczby mówią:

- ▲ W pierwszym półroczu 1963 zdarzyło się w Wielkopolsce 5640 wypadków przy pracy, w tym 916 ciężkich i 36 śmiertelnych.
- ▲ Na każdy tysiąc pracowników — 12 doznało urazów.
- ▲ Każdy wypadek pociągnął za sobą — średnio biorąc — 19 dni niezdolności do pracy.

Tyle zanotowano w oficjalnych rejestrach pod lapidarnymi określeniami: wypadki drobne, lekkie, ciężkie, śmiertelne. Za nimi kryją się osamotnione żony i matki, osierocone dzieci, nowi inwalidzi pracy; dziesiątki tysięcy dni bezczynności ludzi i opuszczonych — nieraz przez najlepszych fachowców — stanowisk pracy.

Obserwacje i badania naukowe (nie tylko w Polsce) wykazują, że co drugi wypadek jest spowodowany przez samych pracowników wskutek nieostrożności, złej organizacji roboty, nieświadomości czy niezajomości przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy.

A gdzie ma swe źródło druga połowa wypadków? Kto ponosi odpowiedzialność za pozostałe 2800 wypadków w Wielkopolsce? Tu główne przyczyny tkwią w złym stanie technicznym urządzeń, w niedostatecznym nadzorze, a przede wszystkim w nie przestrzeganiu przepisów bhp przez ogólną administrację i personel techniczny przedsiębiorstw.

*

W protokole dla prokuratora napisano językiem charakterystycznym dla tego rodzaju dokumentów, beznamietnym, szczegółowym:

„Młodociana robotnica zatrudniona w PGR — Długie Stare przy omłotach, została pochwycona za rekwizy marynarki przez wystającą i nieosłoniętą koniec wału transmisyjnego startownika, co spowodowało oderwanie prawej ręki powyżej łokcia.”

Oszła relacja protokołu nie ukazuje tragedii dziewczyny. Tragedii tym głębszej, że spowodowanej nie dbałością, ale listem, kogoś, kto miał obowiązek nie tylko moralny ale i służbowy — czuwać nad niezakłóconą pracą ludzi obsługujących maszyny. Doszło do tragedii, choć władza ludowa, ustawodawca, starali się podwójnie — przy pomocy odpowiednich przepisów — zagwarantować bezpieczeństwo pracy: ze strony pracodawcy i producenta. Fabryce nie wolno było wypuścić — w myśl przepisów — z magazynu maszyny, której montaż nie przewidywał odpowiedniej osłony wału transmisyjnego. Nie zrobiła tego Świętokrzyska Fabryka Narzędzi Rolniczych w Kunowie; powinien zrobić, gdyby przestrzegał przepisów — PGR w Długim Starem.

Czy wszakże można tu mówić o nie przestrzeganiu przepisów? Czy nie należy tego nazwać lekceważeniem? Różnica niewielka, konsekwencje te same, ale

ten drugi termin precyzuje, nie tylko określone postępowanie. Obrazuje on także stosunek ludzi do pewnych spraw. I jeśli da się w jakiejś mierze usprawiedliwić lekkomyślne traktowanie norm bhp — przez pracownika, to nigdy — przez przedsiębiorstwo. Ono bowiem, podejmując działalność, przyjmuje na siebie wszystkie jej skutki: dodatnie i ujemne. I musi tak działać, by skutków ujemnych było jak najmniej. Temu celowi zresztą służy większość ustaw i rozporządzeń, a przepisy bhp w szczególności.

*

Niechęć do szanowania norm bezpieczeństwa pracy jest zjawiskiem dość powszechnym, a objawia się z różnym nateżeniem i w różnych formach. Konsekwencje tej awersji także bywają różnorakie. Oto kierownictwo „Betonstalu” w Gostawicach (budowa elektrowni) nie zwróciło uwagi na źle zmontowane rusztowanie, wskutek czego luźno ułożone deski rozsiekły się pod ciężarem taczki z betonem. Robotnik, wiozący taczke, spadł z trzeciego piętra i poniósł śmierć.

Zignorowanie norm bezpieczeństwa pochłonęło ofiarę i może będzie ostrzeżeniem dla kierownictwa przedsiębiorstwa, że zasad bhp nie sporządzono dla czyjegoś widzimisię.

Jeszcze jaskrawszym przykładem bimbania sobie z nakazów ochraniających ludzkie życie może „poszczycić się” dyrekcja Ostrzeszowskich Zakładów Przemysłu Terenowego. W maju 1963 roku Techniczny Inspektor Pracy, wizytujący zakład, polecił wstrzymać pracę malarni natryskowej. Prowizoryczna instalacja elektryczna mogła w każdej chwili spowodować iskry i wybuch oparów lakieru nitro. Malarnię rzeczywiście zamknięto, ale gdy Inspektor wrócił niespodziewanie po paru godzinach odkrył, że malowano nadal. Na polecenie dyrekcji, dyrektora ukarano grzywną i na tym sprawie trzeba uważać za zamkniętą, ale warto w oparciu o ten fakt poruszyć kwestię: wolno dyrektorowi narażać własną kieszonkę na wydatek w postaci grzywny? Wolno. Ale nie wolno wystawiać życia i zdrowia ludzkiego na niebezpieczeństwo! Nawet w imię zasług dla iluś tam dodatkowych procentów planu, takich czy innych interesów przedsiębiorstwa.

Nie wolno Poznańskim Zakładom Chemicznym narażać dłużej zdrowia

Dokończenie na str. 2

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 117 Poznań, 12. I. 1964 Rok IV

O świcie 12 stycznia 1945 artyleria radziecka rozpoczęła z 1200 luf ostrzeliwać przednie pozycje niemieckie w rejonie Sandomierza. Wkrótce potem żołnierze hitlerowscy dostrzegają w szarży porannej mgły, rozświetlanej purpurą detonacji, przemykających ku nim piechurów radzieckich. Otwierają ogień broni maszynowej. Zaczęło się!

Zaalarmowane dowództwo niemieckie zarządziło na godzinę 8.10 kontratak. Przygotowuje je ogniem całej, skoncentrowanej w tym rejonie, starannie zamaskowanej do tego czasu, artylerii. Zarazem ściga w bezpośrednie sąsiedztwo pierwszej linii umocnień swe odwody.

Ale kiedy Niemcy odkryli w ten sposób wszystkie swoje karty, odzywa się ponownie artyleria radziecka. Tym razem dziesięciokrotnie silniejsza. 12 000 dział i karabinów! Przez długie sto minut obsypuje swymi pociskami budowane od miesięcy letnich pozycje 4 armii, gotujące się do wejścia w akcję odwody, zdekonspirowane co dopiero stanowiska baterii. Miażdżąca siła tego ognia przekracza wyobrażenia nawet najbardziej doświadczonych w bojach na froncie wschodnim wojaków Wehrmachtu. Kiedy też po dwóch niespełna godzinach rusza na czterdziestokilometrowym froncie masa piechoty radzieckiej wspieranej czołgami i działami szturmowymi, opór hitlerowski jest już skruszony.

Tysiące trupów zaścielają przedpole i porożyte wybuchami okopy. Ci żołnierze niemieccy, którzy ocaleli, albo uciekają na zachód, albo zaszokowani niespotykaną do tego czasu w dziejach wojen nawałą artylerii, nie są zdolni do działania. Także mocno nadszarpnięte odwody próbują wycofać się z pułapki.

Około południa do sztabu dowódcy I Frontu Ukraińskiego marszałka Koniewa nadchodzi już meldunki o przełamaniu drugiej linii umocnień przeciwnika oraz o przenoszeniu się walki w coraz to dalsze rejonu jego systemu obronnego. Sytuacja jest pomyślna: pod wieczór w wyłom będą mogły wejść i podjąć planowany marsz ku Odrze, szybkie jednostki radzieckie.

*

W tym samym mniej więcej czasie, około dwunastej, dociera do poznańskiego zamku, będącego siedzibą gauleitera, pierwsza wiadomość o rozpoczęciu przez radzieckie siły zbrojne ofensywnych działań pod Sandomierzem, czy też jak to określa nomenklatura OKW *) z przyczół-

*) Oberkommando der Wehrmacht (Kwatera Główna Sił Zbrojnych).

Marzenia i rzeczywistość

ka Baranów. Choć jako „ściśle tajna” przeznaczona jest wyłącznie dla Greisera — będącego także komisarzem obrony Warthegau, przenika w ciągu kilku minut nawet do gabinetów pomniejszych bonzów. Wywołuje przynębiające wrażenie.

Także Greiser, choć wieści tej powinien spodziewać się choćby na skutek docierających do niego — z racji stanowiska — informacji antyradzieckiego wojskowego wywiadu kierowanego przez generała Gehlena, popada w pierwszej chwili w stan desperackiego zdenerwowania. Wie dobrze, że na zapleczu pozycji wzdłuż Wisły, obsadzonych wszystkimi stojącymi jeszcze do dyspozycji siłami Wehrmachtu, panuje próżnia. Że wszystkie dalsze linie umocnień pomiędzy Wisłą a Odrą nie są obsadzone. A przecież wszystkie te fortyfikacje, jakimi porożył także wschodnią prowincję „Wielkiej Rzeszy”, w której rządził wszechwładnie jako protegowany możnego Himmlera, są — jak tłumaczono mu fachowo, kiedy narzekał na straty w zasiewach — niezbędne dla powstrzymania spodziewanych klinów pancernych bolszewików. Do tego czasu wierzył święcie, iż zasadniczy prze-

wiele też ustępującego mistrzowi pod względem demagogicznego ujarzmiania słuchaczy.

Neumann, przybawiając rankiem do Poznania, gotów był jeszcze — podobnie, jak dwa dni przedtem na odprawie dziennikarzy w ministerstwie — zapewniać przy pomocy zręcznych sugestii, iż główną uwagę należy kierować nie na front wschodni, lecz na polityczne przemiany na zachodzie, świadczące o bliskości politycznego przełomu wojny. Teraz, usłyszawszy rewelacyjną wiadomość, natychmiast się przestawia. Wydaje się, iż sam opaczony zostaje żarliwą wiarą, jakoby podjęcie tej ofensywy przez Armię Radziecką, było krokiem nieodwrotnie samobójczym.

Kiedy więc w kilka godzin później, po rozmowie z Neumannem — prowadzonej w cztery oczy, Greiser wprowadza gościa do zatłoczonej już auli, jest znowu naładowany optymizmem. Tu wiceminister zakomunikowawszy zebranym, iż wojna wkroczyła w swoje rozstrzygające stadium — dowodzi raz jeszcze, w zresztą skonstruowanej, błyskotliwej mowie, jakoby w żadnym wypadku niemożliwe stało się dokonanie przez znajdujące się na wyczerpaniu siły radzieckie najmniejszego choćby wyłomu w obecnym froncie wschodnim, ponieważ... nigdy jeszcze nie był on tak potężny jak teraz. Tłumaczy przy tym, że jeśli jeszcze do tego czasu godzono się na straty terytorialne na wschodzie, to tylko po to, by oszczędzać siły. By zgotować właśnie nad Wisłą — przy pomocy nowych armii i nowych rewelacyjnych broni — ostateczną drugącojącą klęskę rosyjskiemu pochodowi. By zapewnić w ten sposób ostateczne zwycięstwo.

Odpowiadają mu coraz częściej i coraz burzliwiej oklaski. Wzrasta entuzjazm zebranych oraz utrwala się w nich przekonanie w prawdziwość tej ekwilibrystyki.

Cóż z tego, że zapewnienia Neumanna są gołosłowne. Zarówno Greiser, jak i jego ludzie potrzebują wiary. Gotowi są uwierzyć każdemu, kto mówi po ich myśli. Tym bardziej więc bezkrytycznie chłoną gładkie, przyjemnie brzmiące wywody Neumanna. Nie chcą prawdy. Toteż ci spośród wdzięcznych słuchaczy ministrów, którzy zostali ściągnięci na tę okazję do Poznania ze wschodnich powiatów Warthegau, kiedy w kilka dni później zetkną się z ostatecznymi niedobitkami dywizji Wehrmachtu i ci będą ich zaklinali, że front już dawno przestał istnieć a po nich nadają jedynie radzieckie czołgi — będą chcieli surowo karać „defetystów buszujących na głębokim zapleczu frontu”...

Ostatnie dni Warthegau (1)

łom w losach wojny nastąpi, zanim jeszcze ruszy się ponownie, tak bliski już front wschodni. Przełom, zapowiadany przez Fuehrera i uzasadniany przez Goebbelsa obiektywną koniecznością rozpadu koalicji antyhitlerowskiej i przejścia zachodnich mocarstw imperialistycznych do walki przeciwko Związкови Radzieckiemu u boku Trzeciej Rzeszy. Teraz i to okazało się złudną nadzieją.

Znajduje jednak — jak na zawołanie — pocieszyciela w osobie nie byle kogo: zastępcy Goebbelsa, sekretarza stanu w ministerstwie informacji publicznej i propagandy Rzeszy, Neumanna. Oto w związku z coraz bardziej minorowymi nastrojami ludności niemieckiej, udzielającymi się nawet funkcjonariuszom władz państwowych i partyjnych, właśnie na popołudnie 12 stycznia została zwołana do auli Collegium Minus masowa odprawa agitacyjna ponad 1.200 przedstawicieli reżimu okupacyjnego z całego Warthegau. Początkowo spodziewano się, iż mówcą będzie sam Goebbels. Ten jednak, niechętnie ruszając się z Berlina — którego był zarazem gauleiterem — przysłał swego towarzysza. Niemal tak samo żarliwie przekonanego w ostateczne, rychłe w dodatku zwycięstwo, nie-

Kazimierz Nowowiejski

„Nietoperz” swawoli w Operze

Już trzeci raz po wojnie „Zemsta nietoperza” wraca na poznańskie afisze. Kiedyś prowadził ją Z. Wojciechowski (w Teatrze Wielkim), potem S. Renz (w Operze). Obecnie w uroczystym dniu sylwestrowym wystawiła Straussa nasza Państwowa Opera, pod batutą R. Sałanowskiego. Istnieją różne sposoby podejścia do realizacji starych operetek. Reżyserka aktualnego spektaklu Danuła Baduszkowa poszła raczej po linii „klasycznej” tradycji. Skasowała wszelkie girlandy, rewie i strip-teasy. Sałanowski położył nacisk na muzykę i śpiew. W czołowych rolach same soczyste głosy operowej Antonina Kaweka porzuciła krwawy nóż Toski i zamiast mordować Scarpię, organizuje sobie miłą randkę z „przeszłym przyszłym” czyli lowelą Alfredem. J. Przada — ceniony dotąd jako sentymentalny Leński — beztrako „goli” szampana ani myślał strzelać się z ponurym Onieginem. Wzniosły Eros — Romański zniósł nareszcie swój złotopłasi hełm i zszedł z Olimpu, szczypiąc Adelę — ferficyzną pokojówkę.

Jednym słowem: operowicze zmienili swój dotychczasowy styl serio, usiłując teraz bawić nas beztrako. Jak to wygląda w efek-

cie? Trochę przyciężko, ale nieźle. Na wielkiej scenie Opery godne figury naszych primadonn i „primadonów” wydaje się nie tak okazałe i solidne. Gorzej by to wychodziło w „pudełku” przy ul. Niezłomnych... Reżyserka usiłowała uchwycić coś z legendarnej „atmosfera wiedeńskiej” i zaszczyć solistom ów specyficzny wdzięk roztańczonego fin de siècle'u (panie bodaj łatwiej pojęły koncepcję Baduszkowej niż mężczyźni). Pierwszy akt wypadł dramatycznie bez zarzutu. Potem wszystko już gorzej „leci”, chyba z winy libretta. „Nietoperz” gra się u nas w przeróbce Tuwima. Niestety, wersja przedwojenna też już wymagałaby unowocześnienia. Tasiemcowe dialogi z głupekowatym ks. Orłowskim (II akt) lub monolog pijanego dozorca (III akt) aż proszą się o skróty i jakąś aktualizację. Sa niemożliwie długie, nudnawe i niedowcipne. Słusznie ożywno bał „Cesarskim walcem” (wstawka ad hoc). A gdzie zapowiedziany w programie czardasz? Zamiast monotonnych tekstów należało śmiało dodać jeszcze i „polkę pizzicato” lub innego „marsza Radeckiego”. Było coś się działo w nierzuchawej intrydze. Zwłaszcza na balu przystoi raczej taniec niż pogaduszki.

Niedostatki literackie rekompensuje śliczna muzyka Johanna Straussa, niestarzejąca się, lekka, musująca perłkami przedniego humoru. Partyturę „Zemsty nietoperza” nazywają niektórzy „małą operą”, z racji kunsztowności zrobionych ensembli (duety, tercety itd.) lub scen zbiorowych z chórem. Efektowna rola obdarzył kompozytor Adelę — pokojówkę, która w osobie K. Pakulskiej wysuwa się na czoło spektaklu (srebrny głos i ileż wdzięku!). A. Kaweka finezyjnie gra marzą-

ca o upadku żone — Rozalinde, z temperamentem, śpiewając popularnego czardasza w II akcie. S. Romański ze znanym obyciem teatralnym kreuje lekkomyślnego Eisensteina. W. Wdowicki na pewno przerysował postać zdegenerowanego księcia. J. Przada mile przypominał się w roli Alfreda, którą „robił” na tejże scenie — zaraz po wojnie (jeszcze wówczas z Wojnickim, Załuską i Kostalówną). W mało popisowych dla śpiewaków partiach charakterystycznych (raczej aktorskich) oglądaliśmy J. Machalle, H. Guzka, A. Kizewatera, J. Kafina i innych.

Na dekorację do „Nietoperza” składają się dość abstrakcyjne i realistyczne przystawki (J. Warpechowski). Szkoda, że ostatni akt czyli wesołe „więzionko” zbyt przypomina fantastyczno-mistyczną „Noc Walpurgii”. Przy ciemnym horyzoncie żywym kolorem grają jedynie kostiumy (udały się rozmaić). „Wielki walc” w scenie balu jest rozwiązany choreograficznie pomysłowo (na dwu kondygnacjach), choć może za wiele tu skomplikowanej gimnastyki, a mało płynności i elegancji (układ K. Drzewieckiego, w rolach głównych R. Muszkat i W. Milon). Solidnie przygotowaną orkiestrą dyrygował na premierze Robert Sałanowski (tu recenzuje akurat czwarte z kolei przedstawienie, pod czujną batutą E. Kowalskiego). Premiera straussowskiego „Nietoperza” ma jako zadanie przyciągnięcie tłumów do Teatru Wielkiego.

Nie ma powodu, aby wątpić, że stary i swawolny „Nietoperz” wróci się na dłużej w łaski wielkopolskiego audytorium.



Na zdjęciu — obraz z I aktu: Rozalinda — Antonina Kaweka, Eisenstein — Stanisław Romański, dr Falke — Henryk Guzka.

Fot. — G. Wyszomirska

W styczniowym wydaniu miesięcznika „Życie Państwa” znajdujemy artykuły dwóch poznańskich działaczy: J. Hejdrich pisze nt. „Rezerwy — naczelną zadanie”, a M. Łucki — „Punkty wyjścia”.

INICJATYWA

Pod tym tytułem „Polityka” zamieszcza artykuł Michała Hofmana na temat nowych inicjatyw pokojowych wysuniętych przez państwa socjalistyczne. Autor zwraca uwagę na inicjatywę, z którą wystąpił Wł. Gomułka w swoim przemówieniu (28. XII. 63) w Płocku. W koncepcji planu odprężeniowego wysuniętego przez I Sekretarza KC PZPR na planie pierwszym znajduje się zamrożenie zbrojeń nuklearnych w Europie środkowej.

„Idea ta — czytamy w artykule — znajduje się poza zasięgiem argumentów wysuwanych dotychczas przez koła atlantyckie przeciwko rozmaitym naszym propozycjom. Nie przewiduje ona wystąpienia jakiegokolwiek państwa z jakiegokolwiek bloku. Nie narusza istniejącego już stanu zbrojeń nuklearnych, ani nie godzi w obecną równowagę sił między blokami. Co więcej, harmonizuje z niektórymi poglądami, jakie słyszy się na Zachodzie. Zarazem może ona ruszyć z martwego punktu sprawę odprężenia w strefie znajdującej się na styku obu bloków.”

Autor zwraca także uwagę na nową jakościowo koncepcję pokojowego regulowania sporów terytorialnych (propozycję tę wysunął N. S. Chruszczow w orędziu noworocznym). Dotychczasowe propozycje radzieckie dotyczyły rozstrzygnięcia terytorialnych tych państw, które przegrały II wojnę światową (chodzi tu przede wszystkim o rewizjonizm boński); obecna propozycja obejmuje także problemy terytorialne, które wyłoniły się w wyniku zachwiania systemu kolonialnego lub z innych przyczyn. Orędzie N. S. Chruszczowa wyraża więc perspektywę znalezienia powszechnego środka zaradczego dla pokojowego regulowania wszelkich sporów terytorialnych.

MIEDZY RAJZBRETEM A PLACEM BUDOWY

W tym samym tygodniku Andrzej Krzysztof Wróblewski przedstawia sytuację, jaką wyłoniła się w biurach projektowanych po decyzji o zwolnieniu pracowników. Omawiając szeroko iło obecnych zmian, autor informuje, iż ustalono, że trzeba zwolnić w biurach projektowych około 6000 etatów, co oznacza około 10 000 osób głównie zatrudnionych na półetatach. Praktycznie zwolnienia dotyczą tylko miast największych. Zwolnieniom proponuje się pracę w mniejszych miastach (m. in. wojewódzkich) lub radzi się im przejście do pracy w przedsiębiorstwach budowlano-montażowych. Dla wielu będzie to zmiana zawodu, a często i miejsca zamieszkania. Reforma ta, która boleśnie odczuwają projektanci, powinna zapewnić mocniejszą obsadę w przedsiębiorstwach wykonawczych. Przepływ zdolnych inżynierów z powrotem do wytwórczości pozwoli zapewne złożyć na nie ciężar odpowiedzialności, dotychczas ciążący wyłącznie na projektantach.

Tytuł tej publikacji jest nieco szokujący. Nawsuwa się jednak nieodparcie przy analizie formalności, jakich załatwienie wymaga się od obywatela, podejmującego pracę. Jedną z tych formalności polega na wręczeniu przyszłemu pracownikowi tzw. karty obiegowej (nomen-omen), na której jest miejsce na 8 pieczętek. Tyle właśnie działów i komórek trzeba w zakładzie „obiec”, zanim nastąpi podpisanie umowy o pracę. Niestety, nie są to jedyne formalności.

Spróbujmy śledzić perypetie, jakie bywają udziałem poszukujących pracy. Pierwsze kroki kierują oni zwykle do wydziału zatrudnienia. Na szczęście minęły już czasy kilkugodzinnego wyczekiwania tamże w kolejkach (do likwidacji tłoku przyczyniło się kilka prostych usprawnień organizacyjnych). W urzędzie zatrudnienia nie wymaga się też od petenta zbyt wielu papierków. Wystarczy dowód osobisty, dokument stwierdzający przygotowanie do danego zawodu i zaświadczenie o zwolnieniu z poprzedniego miejsca pracy. Jeśli petent trafi do wydziału zatrudnienia we właściwym dniu (w poniedziałki, środy i piątki przyjmowani są mężczyźni, w pozostałych dniach — kobiety) to ma możliwość uzyskania w krótkim czasie skierowania do wybranego przez siebie zakładu pracy.

Droga petenta wiedzie teraz do przedsiębiorstwa. Tutaj dopiero rozpoczynają się perypetie formalistyczno-papierkowe. Nie wspominamy o innych

O POWODZENIU W ŻYCIU

„Tygodnik Kulturalny” rozpoczął druk cyklu felietonów prof. dr. Jana Szczepańskiego o socjologii na co dzień. Niektóre z zagadnień tam poruszanych były już tematem pogadek profesora w telewizji. W pierwszym felietonie J. Szczepański pisze nt. powodzenia w życiu. Oto jedna z konkluzji, do jakich dochodzi autor: „Nadszedł czas, żeby powiedzieć sobie wyraźnie: kandydaci na powodzenie nie zapewnienia trwałego powodzenia, bo przed czy później zostaną wykryte i ukarane. Zaskarbianie pochlebstw i łask przelożonych też nie jest trwałe, bo w razie zmiany przelożonego trzeba zaczynać od nowa. Trwała podstawa powodzenia w pracy są własne umiejętności, rzetelność w pracy, punktualność i systematyczność w wykonywaniu obowiązków. Powodzenie w życiu zdobywa się własną aktywnością i wytrwałością działania. I to nie tylko powodzenie w pracy zawodowej. Także zdrowie, dobre samopoczucie fizyczne oraz powodzenie w miłości. Bo przecież one także należą do powodzenia w życiu (...)”

NA TROPACH PODZIEMIA GOSPODARCZEGO

Danuta Majewska podejmuje na łamach „Tygodnika Demokratycznego” temat podziemia gospodarczego. Autorka stwierdza, że zanika zjawisko gromadzenia i ukrywania towarów w celach spekulacyjnych; spekulacja polega obecnie głównie na wykupywaniu przez handlarzy towarów, których jest zbyt mało na rynku uspołecznionym. Należą do nich przede wszystkim poszukiwane rajsłopy, pończochy elastyczne, swetry, śniegowce. Różni handlarze bazarowi wykupują je, po czym odrywają tzw. melki i sprzedają po cenach dwa i więcej razy wyższych. Autorka postuluje, by organa kontrolne częściej wkraczały do różnego rodzaju bazarów, co umożliwiłoby ustalenie śladów wielu powiązań między handlarzami a uspołecznionym handlem. Potrzeba w związku z tym także przyspieszenia postępowania przeciwko spekulantom na drodze karno-administracyjnej (kolegia orzekająca).

DO SZKOŁY — „ZA PROTEKCJĄ”

Z jednej strony narzekało się na brak fachowców w PGR i spółdzielniach produkcyjnych, a z drugiej z gospodarstw tych na naukę do średnich szkół rolniczych szło bardzo niewiele młodzieży. Czyżby ta młodzież nie chciała się uczyć? Problemem tym zajął się Związek Młodzieży Wiejskiej w województwach poznańskim i gdańskim. Organizacja ta, o czym pisze Władysław Bielski w tygodniku „Zarzewie”, podjęła akcję propagandową wśród absolwentów szkół podstawowych oraz przysłała do organizowania kursów przygotowawczych dla kandydatów do średnich szkół rolniczych. I wówczas w samym tylko Poznańskim zgłosiło się na kursy 1100 osób. W pierwszych klasach poznańskich technik rolniczych blisko połowę miejsc zajęła młodzież przygotowana na kursach ZMW, młodzież z PGR i spółdzielni produkcyjnych.

W „Kulturze” warto przeczytać artykuł „Henryka Jabłońskiego (z cyklu „Ideologie przeszłości”) pt. „Faszyzm” oraz publikację Adama Sarapaty „Socjologia pracy”. „Motor” informuje o zmianach konstrukcyjnych w samochodach produkowanych przez warszawską Fabrykę Samochodów Osobowych. „Walka Młodych” z niepokojem pisze o „Fabryce asów” czyli o obozach dla sportowców.

LEKTOR

Michał Łuczak

Pracownik w obieg puszczany

niebezpieczeństwach, takich jak telefoniczne opinie, które chociaż stosowane są coraz rzadziej, to jednak nie przeszkadzały w historii.”

Nasilenie formalności zależy od rodzaju obejmowanej funkcji. Najmniej kłopotów — co nie znaczy mało — ma pracownik fizyczny.

1. Pierwsza wymagana odeń formalność to przedstawienie skierowania z Wydziału Zatrudnienia.

2. Następnie trzeba złożyć podanie o przyjęcie do pracy. Czynność ta wydaje się być całkowicie zbędna. Czyż nie wystarczy skierowanie i ustne oświadczenie o chęci podjęcia pracy?

3. Kolej na wypełnienie karty ewidencyjnej, co pozwala działowi kadr uzyskać dostateczny zasób wiadomości o pracowniku (w grę wchodzi wszystkie dane zawarte w dowodzie osobistym).

*) Zdarza się tak, że kandydat obywatela X składa żądane papiery m. in. opinii i słyszy „Proszę przyjść za dwa dni”. Kiedy przychodzi w ustalonym terminie dowiaduje się, że niestety, brak wolnych miejsc. Wyjaśnienie żądaj było proste: personalny, nie zwalając na dobrą pismenną opinię za telefonował do poprzedniego miejsca pracy kandydata, gdzie powiedziano, że zaświadczenie napisano w takiej formie, by nie urazić obywatela X, który jest raczej kiepskim pracownikiem.

a nadto przynależność partyjną, pochodzenie społeczne, stosunek do służby wojskowej, karalność, posiadane odznaczenia itd. itd.).

4. W związku z powyższym wydawałoby się, że nikt nie będzie wymagał składania życiorysu. Nic podobnego — trzeba go napisać, chociaż na

wiązkami i prawami. Realizacja tej dobrej niewątpliwie intencji wygląda tak, że kandydat na pracownika chodzi do komórki do działu (rada zakładowa, technik bhp, komórka socjalna, zakładowa straż ogniowa itd.), by zebrać odpowiednie pieczętki i informacje. Choć z tymi ostatnimi

ogół nic nowego i istotnego nie wnosi. Powtarza się tylko dane zawarte już w karcie ewidencyjnej.

5. Następna formalność, to złożenie świadectwa (lub jego odpisu) ostatniej ukończonej szkoły.

6. Z kolei trzeba poddać się badaniom lekarskim (wymagają tego niektóre zakłady — na pewno szpitalne).

7. Po badaniu należy podpisać zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy państwowej i służbowej.

8. Założeniem karty obiegowej jest, by obywatel przed podjęciem pracy ogólnie zapoznać się z tokiem produkcji, a nadto ze swoimi obo-

zami i prawami. Realizacja tej dobrej niewątpliwie intencji wygląda tak, że kandydat na pracownika chodzi do komórki do działu (rada zakładowa, technik bhp, komórka socjalna, zakładowa straż ogniowa itd.), by zebrać odpowiednie pieczętki i informacje. Choć z tymi ostatnimi

ogół nic nowego i istotnego nie wnosi. Powtarza się tylko dane zawarte już w karcie ewidencyjnej.

5. Następna formalność, to złożenie świadectwa (lub jego odpisu) ostatniej ukończonej szkoły.

6. Z kolei trzeba poddać się badaniom lekarskim (wymagają tego niektóre zakłady — na pewno szpitalne).

7. Po badaniu należy podpisać zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy państwowej i służbowej.

8. Założeniem karty obiegowej jest, by obywatel przed podjęciem pracy ogólnie zapoznać się z tokiem produkcji, a nadto ze swoimi obo-

Mieczysław Skąpski

To jest komedia!

„Gdzie jest generał...”. Film produkcji polskiej. Scenariusz i reżyseria Tadeusz Chmielewski. Zdjęcia: Jerzy Stawicki. Muzyka: Józef Swider. Wykonawcy: Elżbieta Czyżewska (Marusia), Jerzy Turek (Orzeszko), Bolesław Pietnicki (sierżant Panasiuk), Stanisław Miński (generał) i inni.

Z przyjemnością się widzi na ekranie polski film o tematyce nie ogranej, nowej, odkrywczej. Zwłaszcza gdy taki nowy temat jest ubrany w szatki komedii, tak rzadko opuszczającej nasze wytwórnie. Mały więc komedii na temat radziecko-polskiego braterstwa broni z końca ostatniej wojny. Na te tematy wiele się nasłuchiśmy w minionych latach anegdot i dowcipów przechodzących z ust do ust, lecz nigdy nie przeźwrotnych w dzieło sztuki. Bo też rzecz nielutna, na każdym kroku można tu się potknąć, coś przeszarżować, kogoś obrazić. Więc już za samo podjęcie tematu należą się Chmielewskiemu słowa uznania.

Film traktuje o ostatnich dniach wojny, kiedy to szeregowiec Orzeszko, ofermą swego pododdziału samowolnie opuszcza kolegów i trafia do opuszczonego zamku, gdzie Rosjanka Marusia pilnuje z własnej inicjatywy piwnic bogato zaopatrzonej w stare wina. Pilnuje przed radzieckimi i polskimi

moczymordami, którzy chętnie w piwnicach zamku napelniają manierki a nawet kanistry po benzynie. No, a na froncie alkohol to największy wróg żołnierza — jak uczono Marusie. Orzeszko natyka się więc na Marusię i z miejsca się ostro ścierają. On reprezentuje typ skończonego lenia, ale i cwaniaka, tchórza ale i bohatera, gdy znajdzie potrzebę, ona to pryncypialna komсомоłka, w której przesadnie rozumiane obowiązki tłumia naturalne instynkty młodej dziewczyny. Ale tylko do czasu.

Do zamku chroni się grupa Niemców z generałem na czele, by przeczekać trochę, a potem przedzierać się dalej przez linię frontu. Przypadkiem, na skutek poruszenia mechanizmu odwracającego szafę, nasza para bierze do niewoli generała. Ten im potem ucieknie, lecz trafi do piwnic, gdzie zostanie

spity do nieprzytomności przez innego moczymordę z pododdziału sierżanta Panasiuka. Tenże sierżant, najlepsza — naszym zdaniem rola w filmie, szuka w zamku Orzeszki, trapiiony wyrzutami sumienia, że swoim niecznym postępowaniem spowodował ucieczkę młodziaka.

I tak wszyscy sobie depczą po piętach, znajdują się i znowu gubią, a po drodze miewają rozmaite bardzo wesole przygody. Humor w tym filmie nie jest wybredny, ot typowy humor garnizonowy, ktoś się urzał, ktoś potknął i przewrócił, ktoś rzucił mięsem itp. Ale takie było najwyraźniej zamierzenie twórców. I to zamierzenie udało się w pełni. Film ma zapewnione powodzenie, będzie wzbudzał na pewno wybuchy śmiechu.

FILM

Eugeniusz Paukszta

Dobra beletrystyka

etów drugiej połowy XIX wieku. „Niepokój — życie Pawła Verlaine” Francoise d'Eaubonne, w świetnym przekładzie Jadwigi Dackiewicz, ukazuje świat poezji na tle tamtej epoki, jeszcze raz przybliża Paryż wielkiej sztuki, przede wszystkim zaś stara się wyjaśnić wewnętrzne siły sterujące procesem twórczym.

Z nowości PIW-u chciałbym wskazać na ciekawą, osobiwą w swoim pomysłach książkę Martin Beheim-Schwarzbacha „Gwiazda Burgundii”.

Z KSIĄŻKA NA TY

Pisarz niemiecki podjął się tutaj próby zbeletryzowania głośnego eposu germańskiego „Pieśni o Nibelungach”. Autor dążył do zachowania maksymalnej wierności swego utworu z oryginałem, boję się wszakże, iż w jakiś sposób zaciążyło to na artystycznych walorach opowieści, w sumie na pewno ciekawie napisanej i fragmentami pasjonującej, ale miejscami ciężkawej i zbyt rygorystycznej w opisie — rezultat hamowania swobody własnej inwencji.

Trudna, wymagająca sporego wysiłku intelektualnego, jest lektura książki „Pod wulkanem” Malcolm

GDY PRAWO NIE CHRONI...

Dokończenie ze str. 1

i życia ludzkiego, jeśli nie potrafiły zabezpieczyć warunków pracy zgodnie z normami. 31 stycznia bieżącego roku dział produkcji węgla magnetu zostanie na polecenie Inspekcji Związków Zawodowych — zamknięty. Wykryto bowiem, że stan zapylenia powietrza w tym dziale 34-krotnie przekracza dozwolone normy, a zanieczyszczenie gazami akroleiny (silny środek trujący) — 56-krotnie; temperatura pomieszczeń podczas opróżniania suzarni dochodzi do 100 stopni.

Te niedopuszczalne warunki pracy nie powstały nagle z dnia na dzień, znane były dyrekcji i organom zwierzchnim od dawna. Jeśli je więc tolerowano, świadomie łamano przepisy.

Ustawodawstwo nasze nakłada na przedsiębiorstwa obowiązki poprawiania warunków pracy, stwarzania bodźce i środki stałego ich polepszania. Władza ludowa zdążyła bowiem do tego, by były one zgodne z humanitarnymi zasadami poszanowania życia i zdrowia obywateli. Lekceważenie, niehonorowanie przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy — jest więc po prostu nieprzepraszaniem socjalistycznej praworządności.

ZBIGNIEW MIKA

wiu wydają specjalne informacje).

9. Koniec wieńczy dzieło czyli podpisanie umowy o pracę.

Tak przedstawia się „obieg” kandydata na pracownika fizycznego, trwający od dwóch dni do miesiąca (sic!) — można się tu posłużyć — chyba wyjątkowym — przykładem z Poznańskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego. Zakładając nawet, że załatwienie formalności pochłania najczęściej 2-4 dni, to i tak mamy do czynienia ze zbytnią mitręgą. Zrezygnowanie z niektórych papierków wydaje się zaś tym bardziej konieczne, że pracownicy umysłowi i materialnie odpowiedzialni, zobowiązani są do przedłożenia nie tylko tych dokumentów, których wymaga się od robotników. I tak np. pracownicy materialnie odpowiedzialni muszą złożyć — i słusznie — opinie uwzględniającą 5-letni okres pracy (jeżeli w tym czasie kandydat pracował w trzech przedsiębiorstwach, wszystkie muszą wystawić zaświadczenia). Ponadto zakład zobowiązany jest zwrócić się do Ministerstwa Sprawiedliwości, by uzyskać odpowiedź na pytanie, czy poszukujący pracy nie był karany. Zanim z Rejestru Skazanych nadejdzie odpowiedź, mija od 2 tygodni do 2 miesięcy. Cóż więc robić? Zatrudniać na okres próbny? Oczywiście, tak się też zwykle praktykuje, ale są przecież stanowiska szczególnie odpowiedzialne, na które zatwierdzać można pracownika dopiero po przekonaniu się, że nie

był karany. W takich przypadkach jedzie się specjalnie do Warszawy, by uzyskać potrzebne dane.

Opinie z poprzednich miejsc pracy i dane o karalności to niewątpliwie bardzo potrzebne dla działu kadr, dla prowadzenia właściwej polityki personalnej, dokumenty. Trudno natomiast zgodzić się z tym, że od pracowników umysłowych wymaga się wypełniania i ankiet i kart ewidencyjnych, skoro posiadają one niemal identyczne rubryki.

Nie podlega chyba dyskusji fakt, że formalności związane z przyjmowaniem do pracy są zbyt czasochłonne. Na pewno jest tu wiele do usprawnienia, wiele czynności bez większej szkody można by sobie darować.

Dobrze by się stało, gdyby problem ten znalazł odbicie w naszym konkursie „Radzę administracji...”. Sprawa jest naprawdę istotna. Chodzi o zaoszczędzenie czasu, nerwów i energii. Nie można tolerować tego, że wskutek nadmiernego formalizmu pierwsze wrażenia (a to ważny moment) nowego pracownika bywają wcale nie budujące.

P. S. Już po napisaniu niniejszego artykułu do redakcji wpłynął list (podpisany: „Robotnik”), którego autor krytykuje zawile formalności dotyczące rozwiązywania umowy o pracę. W grę wchodzi tutaj m. in. karta obiegu, na której trzeba zebrać 25 podpisów i pieczętek. Nasz korespondent pisze, że formalności te załatwiał trzy dni. „Proszę sobie wyobrazić — stwierdza — jak szarpie to nerwy (...). Proszę zastrzec, że nie chodzi o robotników, którzy nie płaci.”